Nigdzie

Piotr Mirski

Fioletowe niebo, biały śnieg, szary beton. Idąc po kładce między peronami, myślę o otaczającym mnie złomie, o tych wszystkich urządzeniach, których nazwy nie znam, a które wprawiają pociągi w ruch – świat wokół mnie jest ciemny i cichy, ale czuję pod skórą, że gdzieś w powietrzu płynie tajemnicza energia, niewidzialne wyładowania biegnące wzdłuż ławek, latarni i słupków trakcyjnych, gotowe nagle rozbłysnąć i ożywić pogrążony w letargu świat.

Jest cholernie zimno. Z dłońmi wbitymi desperacko w kieszenie schodzę na mój peron i podążam wzdłuż nieruchomego pociągu; zatrzymuję się przy wagonie szóstym – szyba w drzwiach jest popękana i ciągnąc za klamkę, sprawiam, że tafla szkła ostatecznie się rozpada, sypiąc na tory kłującym deszczem. W środku panuje ciemność. Mijam kolejne przedziały, wyglądając w nich Karola; wreszcie jest: zgarbiony, ubrany na czarno, z nagą czaszką połyskującą na tle okna.
– Cześć – mówię, otwierając drzwi.

Podnosi głowę i uśmiecha się do mnie. Ma na twarzy szachownicę z cienia, ale od razu poznaję tę twarz, paskudny pysk, który widujesz w telewizyjnych wiadomościach z czarną kreską na oczach, który szczerzy się do ciebie z zaszczanej bramy, kiedy o drugiej w nocy spacerujesz po najbardziej niebezpiecznej dzielnicy twojego miasta. To wcielenie chamstwa, ulicznego cwaniactwa i okrucieństwa.
– Cześć – odpowiada, a ja już żałuję, że tu jestem.

Siadam w środku, a on wyciąga otwartą już butelkę wódki i podaje mi. Ohydna, parskam, co za gówno. Karol się śmieje. Chcąc ukryć zażenowanie, pytam:
– Kiedy startujemy?
– Teraz – odpowiada i znowu zaczyna się śmiać.

Nagle to czuję: uderzenie, puls, sprzężenie. Zardzewiały zgrzyt przechodzi w pisk, za oknem przelatuje snop iskier, a pociąg rusza; perony, beton i śnieg odtaczają się w tył; pozostaje tylko sine niebo. Nie wiem, gdzie jedziemy i kiedy

tam się dostaniemy, ale ogarnia mnie euforia – opuszczam miejsce, w którym tkwiłem tyle czasu. Coś się zmienia. Pierwszy raz od tak długiego czasu.
– Dobrze. Teraz opowiedz mi wszystko – mówi Karol.
– Teraz? – euforię zastępuje napięcie, takie jakie czuje się przed wejściem na zastrzyk lub powiedzeniem komuś, że się go kocha.
– Tak, już czas. Nie musi to być składna opowieść, nie musisz się skupiać tylko i wyłączenie na tej dziewczynie. Po prostu mów, a ja wychwycę z twojej historii co trzeba.

Po prostu mów. Po prostu wrzuć granat do sedesu i obserwuj fontannę gówna. Sinusoida mojego nastroju nurkuje w dół, w stronę strachu, żalu, wycofania. Zamykam oczy i wsłuchuję się w stukot kół; liczę do dziesięciu i kiedy dochodzę do końca, jestem już czysty, gotowy, nie muszę poprawiać krawatu i wypalać ostatniego papierosa – mogę wejść do sali i zdać ten cholerny egzamin.
– Liceum było chujowe – mówię, otwierając oczy – w przenośni i dosłownie. Gimnazjum to inkubator, tutorial, piaskownica, w której samochodziki zostają zastąpione przez szlugi i jabole. W liceum natomiast zmienia się optyka, wszystko staje się dużo bardziej wyraziste. Ludzie widzą twoje pryszcze i wiedzą, że już ich tam nie powinno być. Patrzysz w przyszłość i nie widzisz już egzaminu i piątkowych urodzin, na których pierwszy raz zapalisz trawę. Patrzysz i widzisz maturę. Widzisz alternatywę: studia lub wojsko. Widzisz, że to, co osiągniesz przez trzy lata, zdefiniuje cię na kolejne, że wsiąkniesz w rolę klasowego jebaki, karierowicza lub odmieńca. Gimnazjum jest jak gnojek z wąsami-piczkodrapkami, który co najwyżej może ci złamać nos. Liceum to wyheblowany metanabolem bysior, zdolny wsadzić ci kosę pod żebra za możliwość pochodzenia przez tydzień w twoich markowych butach.

W liceum spierdoliło się wszystko. Moje oceny z trójek i czwórek zmieniły się na dwóje i jedynki. Nie wiem, czemu tak się stało. Nie byłem zdolny, ale głupi też nie, uczyłem się przecież. Może to kwestia dalekich dojazdów i tego, że byłem cały czas przez nie niewyspany, bo musiałem wstawać wcześnie na autobus. Może nie wiedziałem, co mam zrobić ze swoim życiem, przez co podświadomie odmawiałem biegu na ślepo w wyścigu szczurów. Starzy jeździli po mnie za to jak po burej suce, a ja nie mogłem nawet z niemożności bycia kujonem zająć innego miejsca w szkolnej hierarchii. Na jebakę byłem zbyt nieśmiały, a do tego wciąż nie byłem w stanie poskromić jąkania. Na chuligana miałem w sobie zbyt mało odwagi – jakiś pieprzony instynkt samozachowawczy nie pozwalał mi się ostatecznie stoczyć. Zamiast wydzierać się, dilować po kiblach lub chociaż wagarować, desperacko próbowałem codziennie rozkleić zamykające się oczy i pozdawać klasówki przynajmniej na dwóję. Gdybym miał w sobie okruch megalomanii, to powiedziałbym, że byłem odmieńcem, ale tak naprawdę robiłem za niezgrabną cipę w niemodnych ubraniach i ze złymi ocenami.

Bycie cipą to stan stopniowalny – wciąż się staczasz, cipiejesz, stajesz się cipszy, a potem najcipszy. Kiedy widzisz, że ludzie cię nie słuchają, bo się jąkasz, zaczynasz jąkać się jeszcze bardziej. Kiedy ludzie przestają siadać obok ciebie w ławce, sam coraz mocniej trzymasz się na uboczu, nie przychodzisz nawet na imprezy, na które ktoś cię jakimś cudem zaprasza. Najpierw przykleja się do ciebie etykietka, a potem ty przyklejasz się do niej. Cipiałem z każdym kolejnym semestrem, patrząc, jak wokół mnie ludzie próbują nadać swojemu przyszłemu życiu jakiś konkretny i fajny kształt: chodzili na siłownię, brali udział w olimpiadach przedmiotowych, poznawali nowych ludzi, wyrywali dziewczyny, ruchali, a potem opowiadali o tym sobie nawzajem. Tak, ruchali i opowiadali. Więdłem w cieniu tych opowieści. W majtkach prężył mi się fiut, a spodnie oblewał mi co chwilę wrzątek, aż w końcu po kryjomu uciekałem do kibla, gdzie waliłem konia do nieprzytomności. Z czasem stało się to moim ulubionym zajęciem. Znikałem na całe przerwy, dzięki czemu nie musiałem już gapić się w podłogę i udawać, że mam w dupie to, że wszyscy wokół mają mnie w dupie. Po prostu siedziałem ukryty w kabinie i z papierem toaletowym na kolanach marszczyłem wacka, myśląc wciąż o koleżankach z klasy. Liceum było po prostu chujowe.

Spoglądam w stronę Karola i widzę, że ma zamknięte oczy, a na jego skroni pulsuje żyła. Nagle wjeżdżamy do tunelu i zapada absolutna ciemność; czekam, aż się rozjaśni, ale tunel ciągnie się i ciągnie; mijają minuty, a ja wciąż nie jestem w stanie niczego zobaczyć. Słyszę głos Karola:
– To jeszcze trochę potrwa, spokojnie, nie przerywaj sobie.
– Podobno większość facetów jedzie na ręcznym pod pornole, ale ja tak nie potrafiłem na dłuższą metę. Masturbacja stawała się wtedy czynnością aż nadto wirtualną: wyskakująca na ekranie piksele, pojawiające się co chwilę ekraniki reklam i idealnie wygolone cipy idealnie obrobionych skalpelem kurew zbyt mocno odrywały mnie od rzeczywistości. Fantazje o koleżankach z klasy niosły natomiast ze sobą pozór realizmu. Wiedząc, jak dana dziewczyna zachowuje się na co dzień, potrafiłem dośpiewać sobie, co zrobiłaby, kiedy spuszczałbym się jej na twarz lub orał jej odbyt aż do krwi. Potem, w chwilach, gdy wymieniałem z obiektami moich fantazji zdawkowe powitania lub pożegnania, myślałem z kretyńską satysfakcją: „nawet nie wiesz, jak cię zerżnąłem na ostatniej przerwie, suko". Chociaż po kilkadziesiąt razy przerobiłem każdą z koleżanek, to królową moich prywatnych pornosów była Sylwia.

Z Sylwią chodziliśmy razem do gimnazjum. Uczyliśmy się w różnych klasach, ale to była mała, zapyziała szkółka, w której po roku już każdy się z każdym znał, więc kojarzyłem ją nie tylko z widzenia, lecz także słyszałem o niej kilka rzeczy. Było ich niewiele, bo ubrana raczej skromnie, nieafiszująca się postępami, jakie zrobiły w jej ciele hormony, Sylwia raczej nie dała się ponieść wznoszącej fali młodości. Ot, raz zapaliła papierosa w kiblu, jednak nie +

umiała się zaciągnąć, raz też stała na czatach, kiedy jej koleżanki z klasy skręcały za szkołą blanty. Słowem, nic takiego. Na tle dojrzewających pomału w tamtych czasach narkomanii i kurewstwa stanowiła prawie kandydatkę do beatyfikacji. Wizualnie była chyba niezła, ale nie zwracała aż tak uwagi, jak te dziewczyny, które wtedy zwracać uwagę chciały. Ciemna karnacja, brązowe włosy, duże oczy, coraz lepiej rokująca figura – na pewno zdarzało się, że ktoś strzelił jej na lekcji ze stanika lub z gumki do majtek, niemniej zaludniała raczej niewielką liczbę mokrych snów.

Ucieszyłem się, kiedy zobaczyłem nazwisko Sylwii tuż nad swoim na liście osób przyjętych do liceum. Pod skórą czułem już nadchodzącą klęskę, dłonie pociły mi się na myśl zmiany środowiska, więc znajoma twarz zawsze była w cenie. Na rozpoczęciu roku rozmawialiśmy pierwszy raz w życiu i w jej zachowaniu również czułem pewną desperację. Wokół przewalały się obce twarze, starzy ludzie wygłaszali zmęczonymi głosami patetyczne przemowy, a my byliśmy jak dwie sierotki trzymające się za rączki na szalupie spuszczanej z tonącego Titanica. Sylwia wtedy jeszcze przypomniała swoją wersję z gimnazjum – ładną, ale skromną, obiecującą, ale jeszcze nie w pełni rozwiniętą. Przez pierwsze tygodnie szkoły nasze relacje były dość bliskie. Chociaż dowiedziałem się o niej kilku rzeczy, to nie były to informacje ciekawe czy zaskakujące – Sylwia nie ukrywała pod fasadą opanowania traum z dzieciństwa, niechęć do dużych dekoltów nie stanowiła pokłosia pedofilii ojca lub wujka, nieodsłaniający brzucha sweterek nie ukrywał sznyt po samookaleczeniu. Zwykła dziewczyna z blokowiska. Taka jak ja, tylko z cipą i cyckami. Lubiłem ją coraz bardziej i kto wie, gdybym nie myślał o każdej przedstawicielce płci przeciwnej jak o potencjalnym naczyniu na moją spermę, może uznałbym, że coś do niej czuję. Tak, chyba coś do niej czułem.

Po tych kilku adaptacyjnych tygodniach udało się Sylwii znaleźć w klasie swój punkt zaczepienia. Coraz częściej rozmawiała na przerwie z innymi dziewczynami. Przesiadła się ode mnie do innej ławki, skąd słyszałem jej chichoty i rozmowy. Aklimatyzowała się, kiedy mnie powoli zaczęła ściągaćw dół czarna dłoń depresji. Mierzyła wysoko – nie zabiegała o znajomość kujonek czy dziwaczek w koszulkach Vadera, tylko blachar i błyszczących pewnością siebie dziewczyn z dobrych domów. W końcu kolorowa masa naszej nowej klasy połknęła ją, stunningowała i wypluła z powrotem na światło dzienne. Sylwia 2.0. był pieprzoną seksobombą. Kosmetyki, nowe ubrania i dobre rady koleżanek wyłuskały z niej skrywany potencjał. Postać, w jaką okrzepła Sylwia, zapierała dech w piersiach. Postać, w jaką okrzepłem ja, mogła jedynie gapić się na wystające z jej obcisłych dżinsów stringi, a potem biec do kibla i strugać Pinokia.

Wyjeżdżamy z tunelu. Wciąż jest ciemno, ale udaje mi się zobaczyć, że za oknem rozpościera się pagórkowaty krajobraz. Nie ma księżyca, zasłoniły go

chmury koloru grafitu. W pewnej chwili dostrzegam miasto – gdzieś na horyzoncie rysują się zęby wieżowców, a w niebo celują kominy. W mieście tym toczy się jakaś walka. Nie widzę dokładnie, ale gdzieś nad niebem unoszą się łuny pożarów i co chwilę gdzieś rozbłyskują eksplozje; cień rzucają obłe obiekty latające – balony? zeppeliny? – które sieką wszystko deszczem ognia.

Patrzę na Karola, ten powoli i jakby z trudem otwiera oczy i wzrusza ramionami.
– Zaschło ci w gardle? – pyta się i nie czekając na odpowiedź, pociąga wódkę, a potem podaje mi butelkę.

Alkohol już aż tak mną nie otrząsa, myślami jestem teraz całkowicie w liceum. Fala ciepła idzie wzdłuż przełyku i żołądka, a ja podejmuję przerwaną opowieść:
– Nie istnieją klasy w pełni zintegrowane, w których jeden jest za wszystkimi, a wszyscy za jednym. Zawsze przecina je przynajmniej jedna linia demarkacyjna, oddzielająca hołotę od tej fajniejszej reszty. W mojej klasie społeczna gradacja rozdrobniła te trzydzieści osób na bardzo bardzo małych grup. Niektóre z nich składały się jedynie z dwóch osób. Inne natomiast – na przykład moja – składały się tylko z jednej. Grupa Sylwii 2.0 była stosunkowo duża i znajdowała się na samym szczycie hierarchii. Codziennie patrzyłem z bólem, jak błyskają wśród niej białe zęby, upudrowane dekolty i nażelowane włosy, jak przytula się na powitanie z bogatymi pindami i modnymi lalusiami, kiedy ja modliłem się o możliwość otarcia się w kolejce do szatni o jej cycka.

To nie tak, że już nie rozmawialiśmy, bo rozmawialiśmy, jednak lepiej byłoby, gdybyśmy tego nie robili. Mieszkaliśmy niedaleko siebie i musieliśmy jeździć razem autobusem do szkoły, przynajmniej w teorii, w praktyce unikałem tego, jak tylko mogłem, nawet za cenę spóźnienia na lekcje. Sylwia 2.0 wydawała się zresetowana. Reagowała na mnie jak na nowego człowieka: opowiadała mi te same historie co kiedyś, zadawała takie same pytania, jedynie mgliście przypominała sobie, że chodziliśmy do tego samego gimnazjum. Była miła, owszem, nawet aż za bardzo, ale odczuwałem w tym wszystkim posmak błyszczyka, podkładu, kupionej za kupę hajsu sztuczności. Sylwia 2.0 jawiła mi się jako klon wyhodowany przez Porywaczy Ciał w wypełnionym tuszem do rzęs inkubatorze.

Pojawiało się wokół niej coraz więcej chłopaków i nie mam tutaj na myśli kolegów, lecz „chłopaków", gości, którzy przychodzili specjalnie dla niej do naszego liceum i kiedy wychodziliśmy z klasy na przerwę, oni już czekali oparci o ścianę, szeroko się uśmiechając. Nie wiem, gdzie ich poznawała, może na „melanżach", na które chodziła ze swoją paczką. Myśli o tych imprezach bo-

leśnie stymulowały moją wyobraźnię, wypełniając ją po brzegi obrazami Sylwii 2.0 obłapianej w tańcu przez facetów, pijanej i – kurwa jej i was wszystkich mać – szczęśliwej. Ja szczęśliwy nie byłem, szczególnie że nowy image Sylwii 2.0 nie pociągnął jej na dół, przez co nie mogłem patrzeć na nią z wyższością, że te wszystkie kosmetyki i ładni chłopcy przybili wieko jej trumny. Chociaż była wesoła i popularna, to wciąż dobrze się uczyła i myśl o maturze prawdopodobnie nie wywoływała u niej – tak jak u mnie – chęci wbicia sobie w podniebienie lufy pistoletu.

Przerywam, bo Karol zaczyna się trząść. Jest łysy, więc jak na dłoni widzę, że pobladł – chorobliwa biel rozlała mu się po całej czaszce i ściekła na czoło i policzki. Spomiędzy zaciśniętych warg pryskają mu co chwilę bąbelki śliny, w grdyce coś się nieustannie kotłuje, palcami oraz dżinsy na kolanach. Jest z nim źle. Już nie przypomina króla dzielnicy długich noży i twardych pałek, tylko narkomana patrzącego w twarz śmierci z przedawkowania.

Pociąg pędzi dalej przez noc. Krajobraz za oknem jest ciemny, nijaki, wyzerowany. Nie jestem w stanie odczytać z niego żadnych wskazówek co do miejsca, w którym jesteśmy. Nie wiem, co robić. Nie wiem, co robić, więc mówię dalej:
– A więc w końcu wybrała. Wybrała, bo mogła wybierać – nie była szpachlującą codziennie pryszcze blacharą, która rozkłada się przed pierwszym lepszym dresem, jaki ją zechce. Wybrała oryginalnie i ambitnie. Miał na imię chyba Łukasz, był studentem jakiegoś bezrobotnego kierunku humanistycznego i wyglądał tak, jak wyobrażałem sobie wszystkich studentów bezrobotnych kierunków humanistycznych: ubierał się w sprane swetry i dżinsowe katany, w których zawsze miał jakąś książkę; nosił półdługie włosy, okulary, a policzki pokrywał mu siny nalot zarostu; spojrzenie mówiące, że jest mądrzejszy od całego świata i postura dodająca, że mądrość mądrością, ale przypierdolić też potrafi. Słowem, młody poeta i intelektualista, ale pozbawiony typowej dla swojego rodzaju zniewieściałości. Przychodził do niej bardzo często, czasem nawet dla skeczu wchodził do nas na lekcje i udawał jednego z uczniów. Kiedy obejmował Sylwię 2.0 i dotykał jej byłem pewien, że już zaczął ją ruchać. Prawiczki wyczuwają takie rzeczy.

Prawiczki mają też jedną cechę – nienawidzą tych, którzy stracili cnotę, szczególnie jeśli są to osoby, o których zdeflorowaniu potajemnie się marzyło. Z czasem moje przeczucia zastąpiła stuprocentowa pewność, cholernie przygnębiająca i ściskająca moje jaja w rozgrzanym imadle. Pewnego razu podsłuchałem, jak Sylwia 2.0 doradzała koleżankom, żeby przestały bawić się w kondomy i zainwestowały czas i pieniądze w tabletki. Innym razem dotarł do mnie strzępek rozmowy, w czasie której Sylwia 2.0 tłumaczyła nieco napiętym głosem Łukaszowi, że okresy jej się często spóźniają i żeby dał sobie na razie

spokój z szukaniem w necie tabletek wczesnoporonnych. To było jak kopanie mnie w krocze. Starałem się przestać walić pod Sylwię 2.0, ale przestało mi wychodzić pod inne koleżanki, więc jechałem znów pod nią, jednak tym razem w wersji „german hardcore" i „BDSM". Wśród białych kafelków i szumiącej wody na prawie każdej przerwie gwałciłem ją i poniżałem. Teraz brzmi to śmiesznie i żałośnie. Wtedy czułem się jak najsłynniejsi seryjni mordercy w jednym, jak bestia gotowa mordować kobiety w ciąży i gwałcić wyrwane z ich brzuchów płody.

I tak to się kręciło. Lekcja za lekcją, klasówka za klasówkę, spust w kiblu za spustem, semestr po semestrze, spędzane samotnie przy kompie wakacje za wakacjami. Ledwie zdający, coraz bardziej pogrążający się w autyzmie, coraz mniej atrakcyjny, dotrwałem do studniówki. Poszedłem na nią tylko dlatego, że starzy w pewnym momencie zaczęli się na mnie dziwnie patrzeć i pytać, czemu nigdzie nie wychodzę, a raz podsłuchałem, jak zastanawiali się, czy nie jestem pedałem. Poszedłem, wiedząc, że będę cierpieć. Posadzili mnie, rzecz jasna pozbawionego osoby towarzyszącej, przy stoliku z pięcioma innymi parami. Aby przetrwać piekło drętwej gadki-szmatki i patrzenia, jak wszyscy wokół wylizują sobie migdałki, przemyciłem w kurtce pół litra wódki. Dla mnie to była potężna dawka i urżnąłem się dość szybko, wodząc szklistym wzrokiem po sali w poszukiwaniu Sylwii 2.0.

Spóźniła się. Do tego przyszła sama. Drogą szeptaną doszło do mnie, że właśnie tego dnia rzucił ją Łukasz. Nawet gdyby nikt mi tego nie powiedział, to wyczytałbym to z jej twarzy. Cudownie się rozklejała z każdą kolejną godziną. Królowa depresji, której rozmazuje się makijaż i pękają oczka w rajstopach, a ona dziarsko wali kolejne szklanki coli zaprawionej wódką i ładuje się na sam środek parkietu, aby wirować gdzieś pomiędzy tańczących w kółeczkach – piękna, wyzywająca, wściekła. Kiedy sam już byłem porządnie urżnięty, postanowiłem poprosić ją do jakiegoś wolnego, niech mnie chuj strzeli, musiałem to w końcu zrobić, przecież była najebana, a ja przynajmniej będę mógł powdychać przez kilka minut jej zaprawiony spirytusem pot. Udało się. Podszedłem przez falujący parkiet, wybełkotałem coś, słowa pochłonęła muzyka, ale ona zrozumiała, o co chodzi i, bez słowa, ze stężałą twarzą, zarzuciła mi ręce na plecy i zaczęliśmy tańczyć. Nie czułem potu, ale za to jej nagie plecy parzyły mnie w dłonie. Nawet nie wiedziałem, kiedy zjechały mi w dół i znalazły się na jej tyłku. Ona też zdała sobie z tego sprawę dopiero po chwili. Otworzyła oczy, chyba przez chwilę rozważała, czy nie dać mi w ryj, ale ostatecznie po prostu odepchnęła mnie od siebie, a ja poleciałem w tył, w kłąb cuchnących fajkami ciał, światła, tandetny pop, infantylne hasła rzucane przez wodzireja, w parujące hormony, naiwną radość, tandetny blichtr. Następną rzeczą, jaką zapamiętałem, był spacer bez kurtki przez styczniową noc i rzyganie co kilka kroków.

Sto dni później jakoś zdałem maturę. Dostałem się na jakieś studia. Mieszkałem w jakimś wynajętym mieszkaniu. Było lepiej, trochę się ucywilizowałem, opłukałem z licealnego gówna, kiedy musiałem zacząć się martwić o to, czy wystarczy mi pieniędzy do końca miesiąca. Studia poza domem to szkoła życia. Na piątym roku poznałem dziewczynę, nawet nie taką bardzo brzydką, przeruchałem ją po trzech miesiącach znajomości, spuściłem się po jakichś trzydziestu sekundach, a półtora miesiąca później dowiedziałem się, że muszę zostać ojcem i mężem. Zostałem nimi, a moje życie okrzepło, jego kształt był koślawy, ale stabilny. Jest taki do teraz. Do teraz zdarza mi się walić konia.

Kiedy kończę, zdaję sobie sprawę, że zgiąłem się prawie wpół i praktycznie gadam do moich kolan – ot, dziwny prenatalny odruch, absurdalny wyraz bezbronności i dezorientacji. Karol wygląda już dobrze, siedzi rozwalony na siedzeniu i uśmiecha się, wodząc nieobecnym wzrokiem po suficie. Nic nie mówię, bo nagle robi mi się głupio z powodu tego, co powiedziałem. On, domyślając się prawdopodobnie powodów mojego milczenia, mówi:
– Dziękuję. Tyle mi wystarczy. Wszystko jest już gotowe. Wyśniłem ją dla ciebie. Zbieraj się, bo zaraz wysiadamy.

Rzeczywiście, pociąg zwalnia, w powietrzu narasta pisk. Stop. Koniec przejażdżki. Przeciskamy się do wyjścia, on pierwszy, ja za nim, i wychodzimy na ciemną równinę. Wokół jest pusto, pusto w absolutnym znaczeniu tego słowa, na cztery strony świata rozciąga się szary, kamienisty grunt i tylko na horyzoncie majaczą jakieś kształty – góry lub chmury, nie wiem. Pośród tych ziem jałowych znajduje się samotny budynek, dwupiętrowy, szary, brzydki i ozdobiony tylko jednym neonem o kształcie kobiecego profilu.

Idąc w jego stronę, czuję, jak serce zaczyna mi bić coraz mocniej, a ja zaczynam się zastanawiać, jak się tu znalazłem. Czy Karol był spotkanym w knajpie kolesiem, który zanim urwał mi się film, złożył mi dziwną i kuszącą propozycję? A może znalazłem w jakiejś szmatławej gazecie ogłoszenie, w którym anonimowy specjalista oferował, że za pewną sumę wyśni mi każdą dziewczynę i odda na kilka godzin w moje lepkie łapy? A może po prostu obudziłem się, idąc na peron, a resztę dośpiewałem sobie, potrzebując usprawiedliwienia, punktu zaczepienia? Nie wiem. Wiem tylko, że z każdym krokiem jestem bliższy zawału.

Zadymiony hol. Stara, paskudna baba za ladą. Karol kiwa głową w jej stronę, dotyka mojego ramienia, mówi numer pokoju, a potem puszcza. A ja idę w górę po schodach. Czerwony dywan. Burdel to burdel, wiadomo. Różowe drzwi, a w nich klamka, którą naciskam i wchodzę do środka.

Ściany pokoju są fioletowe, panuje w nim przepisowy półmrok, a przy ścianach ciągną się dwa rzędy półek: po prawej stronie są kondomy, lubrykanty

i przeróżne apaszki, a po drugiej wibratory, uprzęże, pejcze, obcęgi i przyrządy, które bardziej kojarzą mi się z hiszpańską inkwizycją niż z seksem. Pornograficzne jin i jang. Pośrodku znajduje się natomiast łóżko, a na nim – Sylwia 2.0. Uśmiecha się na mój widok, a ja w tym momencie uświadamiam sobie, że to nie Sylwia 2.0, tylko stara, dobra Sylwia, ta z którą się kumplowałem. Po swojej nowszej wersji zachowała tylko wygląd – jest kobietą, wspaniałą kobietą, ubraną jedynie w bieliznę i makijaż, zmysłową i, ja pierdolę, mój kutas, chętną i gotową.
– Cześć – mówię, a myślę – no i co ja mam teraz zrobić? Zdjąć jej i sobie gacie i zacząć posuwać? Z żoną robię to zawsze po zgaszeniu lampki nocnej.
– Cześć – Sylwia odpowiada i dodaje, jakby znała moje myśli – rozbierz się i chodź do mnie.

Zdejmuję łachy, czując się jak na komisji wojskowej, rzucam je na ziemię i siadam obok niej na łóżku, a ona bierze moją rękę i wodzi sobie nią po nogach, udach, brzuchu, dekolcie. Trzęsę się. Nie wiem, czy naprawdę, ale w środku – na pewno. Jak to jest móc przerżnąć Jenne Jameson, Sashę Grey i Anne Nicole Smith? Czy w ogóle można sprostać swoim masturbacyjnym fantazjom? I którą opcję mam wybrać: odegrać wymarzony pierwszy raz czy wziąć analny odwet na dziwce, która wolała w liceum dawać studentom?

Nagle coś we mnie pęka, a potem łagodnieje i wiem już, że nie będzie dzisiaj żadnych cumshotów, rimmingu, handjobów, BDSM, czy nawet zwykłego misjonarskiego grzmocenia. Kładę się obok Sylwii i odwracam do niej plecami. Ona obejmuje mnie w pasie i przytula się do mnie. Jest ciepła, miękka i ładnie pachnie, ale nie staje mi, jest w tym coś siostrzanego, gładkiego, aksamitnego. Zamykam oczy, a ona zaczynając gładzić mnie po głowie, mówi:
–Liceum było naprawdę fajne, nie kłamię, nie zgrywam się. Rodzice w gimnazjum tonęli w długach i dopiero pod koniec ostatniej klasy wyszli na finansową prostą. Dzięki temu moje samopoczucie poprawiło się jakieś kilkanaście razy i nie chodziło tylko o to, że teraz mogłam kupić sobie ciuchy i kosmetyki, chociaż to też było ważne. Chodziło w dużej mierze o to, że w mojej głowie wyłączyła się ta płonąca, wciąż czerwona lampka ostrzegawcza, która mówiła: módl się i pracuj, nie wychylaj się i bądź szarą myszą, pokutuj swoją nauką i tłumieniem burzy hormonów za to, że twoi starzy najpierw brali pożyczki, a dopiero potem myśleli. Nie dość, że w domu skończyły się wtedy już krzyki i wrzaski, to liceum było świetną okazją, aby zbudować siebie na nowo. Gdybym w gimnazjum nagle przyszła jako „radosna, pewna siebie i świetnie ubrana nastolatka", to od razu zgasiłyby mnie zszokowane spojrzenia kolegów i koleżanek. Liceum było dla mnie resetem.

Wszystko okazało się łatwe. Nowi ludzie nie patrzyli na mnie jak na kosmitę, wyciągnęli do mnie ręce, pomogli zbudować siebie na nowo. Nauka również +

okazała się łatwa – lata bycia kujonem wyrobiły we mnie kilka dobrych nawyków. Pójście do liceum było jak wyrwanie się z zaczadzonego bunkra i oddychanie wreszcie czystym powietrzem. Cegiełka po cegiełce budowałam poczucie pewności siebie. Dzięki niemu relacje z chłopakami też dobrze mi się układały. Cnotę straciłam z Łukaszem i było to naprawdę fajne, mimo że potem okazał się fiutem. Koleżanki mówiły mi, że seks jest boleśnie prozaiczny, że facet dyszy nad tobą, a ty z dezaprobatą patrzysz na pojedyncze włoski kiełkujące na jego bladej klacie. Dla mnie właśnie te włoski były fajne. I pieprzyki, i blizny. Ta cała krucha, delikatna ludzka fizyczność.

Łukasz był oczywiście fiutem, dowiedziałam się o tym szybko, a tuż po mnie cała szkoła. Naprawdę myślę, że mógł jeszcze chwilkę poudawać i pójść ze mną na studniówkę, a nie rzucać mnie kilkanaście godzin przed nią. Powiedział, że chciał być szczery, że nie chce żadnej szopki, wymuszonych uśmiechów, fałszywych pocałunków. Ja mu powiedziałam, że przynajmniej miałabym miłe wspomnienia, że w końcu one się liczą przede wszystkim i jeśli naprawdę nie widzi we mnie intelektualnej partnerki, to przecież na pieprzonej studniówce nie musi ze mną gadać, może pić, tańczyć i mnie obmacywać. Zamiast niego obmacywałeś mnie ty. Pamiętasz? Pamiętasz, co stało się po tamtym tańcu?

Leżę na łóżku i płaczę. Jest czysty, krystalicznie czysty, a ona wodzi palcem po płatku mojego ucha, wywołując dreszcze na całym moim ciele. Przecież pamiętam, do kurwy nędzy. Chciałbym cię nienawidzić, ale pamiętam, pamiętam, pamiętam.
– Byłeś dziwnym chłopcem, takim schizofrenicznym, nie wiedziałam, co dokładnie o tobie myśleć. W jednej sekundzie rozczulałeś swoją fajtłapowatością. W drugiej widziałam, jak zaciskasz zęby, i myślałam wtedy, że jesteś kimś w stylu Hitlera, poniżanym kurduplem marzącym, aby zmieść z powierzchni całą ludzkość. W trzeciej natomiast znów stawałeś się słodką ofermą, która nawet nie potrafi porządnie złościć się na cały świat. Na studniówce byłeś żałosny w nieszkodliwy sposób, blady, napruty i patrzący w dekolty dziewczyn jak Scooby Doo na Scooby-chrupkę. Ja nie potrafiłam się tak zniżyć, chciałam przytulać się do koleżanek i płakać, ale w ich wyciąganych w moją stronę ramionach było coś obleśnego, była w nich ta obłudna radość z cudzego nieszczęścia. Być może tańcząc z tobą i czując się jak dobra samarytanka, kiedy pozwalałam ci miętosić mój tyłek, również byłam obłudna. Na pewno byłam. Tłumiłam mój ból twoim bólem. Jednak to, co powiedziałam ci po skończonej piosence, było szczere. Pamiętasz, co powiedziałam?

Pamiętam. Po wszystkim przytuliła mnie mocno i powiedziała: „To wszystko mija. To wszystko pryszcze, które już sobie wyciśniemy. To, że jesteś samotny na studniówce, nie znaczy, że będziesz samotny przez całe życie". Poczułem się po tym lekko. Tak po prostu. Nie uciekłem z imprezy. Wyszedłem

Sylwia nie krzyczy, tylko dyszy w nerwowych spazmach. Wciągając ubranie, mówię do niej. Mówię, że teraz jest już dobrze, zrozumiałem wszystko, oczyściłem krew ze złych wspomnień i teraz chcę prowadzić z nią nowe, lepsze życie. Ściągam ze stojącego w rogu wieszaka jej szmaty i rzucam, każąc się szybko ubrać. Po chwili opuszczamy pokój, zbiegamy przez w hol, z którego zniknęła paskudna starucha, i wybiegamy na pustkowie. Sylwia podąża cały czas za mną, ale jest cicha, zdezorientowana, pozbawiona entuzjazmu.

Szara ziemia, czarna noc, szare chmury. Idziemy przed siebie, a krajobraz się nie zmienia, cały czas przypominając negatyw windowsowej tapety. Zniknął pociąg, nie ma też już torów, szybko gubimy więc drogę i nie wiemy, czy właśnie nie kręcimy się w kółko. Gruz i popiół chrzęszczą pod naszymi stopami, ziemia czasem drży od sejsmicznych pomruków, a nagłe uderzenia wiatru rozwiewają nam włosy i stawiają wszystkie włoski na skórze. Jeszcze próbujemy, wciąż unosimy do góry nogi i mrużymy oczy, próbując wypatrzyć w ciemności jakieś kształty, od czasu do czasu wymieniamy uśmiechy, aby dodać sobie otuchy, ale powoli dociera do nas jedno. Że nie ma drogi powrotnej. ●